

LODZIA z całego województwa

Po co chłopcu sport? — mówił z szerokim śmiechem pan Gębuszko, sklepikarz w Mchowie Dolnej. — Do czego chłopcu sport? On ma sport, jak cały dzień z kosą po polu gania, a jego baba ma sport, jak się jesienią do kartofli z motyką schyli.

Na powietrzu od rana do nocy, gęba opalona, zdrowa, każdy mieszczuch może mu pozazdrościć. Co innego ja: jak za szynkasem cały boży dzień utykam, to przecież coś mi się od życia należy, nie?

Lodzianka mrugnęła na Witka, Witek na nią, a że był od niej śmielszy, powiedział: — To pan by lepiej do sportu, co, panie Gębuszko? Chyba do piłki nożnej?

I tykał nieprzystojnym okiem na grube, krzywe nogi sklepikarza, które było widać spod stołu.

— Daj pokój, Witek, daj pokój — prosiła gorącym szeptem Lodzia — a to się znów pożrecie, jak w zeszłą sobotę.

Ciągnęła go za rękaw, wyszedł z nią razem. Lodzia musiała najpierw odnieść matce cukier na święta, a potem poszli do szkoły, bo ten Witek na nią czekał. Założyli tam kółko sportowe, zimą gimnastykowali się w świetlicy, latem rzucaли kula, dyskiem, pływali w zimnej jak lód Siplance, która wiosną rozlewała szeroko tocząc burą jak kamień wodę, i Lodzia przyzwyczaiła się już do świata oglądanego od poziomu rzeki, do oglądanych od białej podszewki liści nadbrzeżnej wierzbiny, do tej świecącej łuski wodnej, którą się ma u brody, kiedy spojrzeć po rzece pod słońce.

Obrażliwe i głupie słowa Gębuszki były zapomniane, bo przecież instruktor dawno ich pouczył, jakie grupy mięśni biorą udział przy pracy w polu i jak wtedy działają płuca, a jakie przy spocie, kiedy dla odpoczynku biega się za piłką, albo wyciąga ramiona w siatkówce. Ale lepiej od instruktora pouczał widok gruzliczych dzieci po chałupach i zabiedzonych chłopskich matek, które pracowały u bogaczy „na odrobek”, wiedzieli doskonale jak to wygląda „sport” na kartoflisku, i że po każdej pracy należy się odpoczynek i węsole odetchnienie w gromadzie. A kiedy po ćwiczeniach w świetlicy, gdzie tyle też bywało ciekawych gawęd — przeglądali się w małym lusterku na ścianie, pouczyła ich własna, rozszerzona pierś, mocne ramiona, muskularne nogi i radosne, szeroko ku życiu otwarte oczy.

Lodzianka ćwiczyła zapamiętałe i przeszła wszelkie eliminacje, aż nadszedł dzień, kiedy wybrali ją do reprezentacji wojewódzkiej na Kongres Samopomocy Chłopskiej, który miał się odbyć w Warszawie jeszcze przed świętami.

Ileż wrażeń, ile wzruszeń! Przede wszystkim pierwszy raz w życiu miała być w stolicy, a tyle się nasłuchiwała o jej bohaterskiej obronie i o strasznym losie, jaki ją spotkał podczas powstania, że i teraz wyobrażała sobie, iż z domów zostały same szkielety, choć to wyobrażenie wal-

czyło w niej z innym pojęciem o potężnej siedzibie wszystkich władz, gdzie na każdym kroku można spotkać jakiegoś ważnego człowieka, o którym się czytało w gazetach, gdzie każdy co jedzie samochodem, to minister, a człowiek lepiej ubrany to albo poseł na sejm, albo wysoki urzędnik. Ale najpierw niebardzo jej się wszystko uwidziało, bo dwie noce nie spali: pierwszą noc jechali do Radomia z małej stacyjki wiejskiej, dniem przesiadli w inspektoracie, a drugą z wielkiego zdenerwowania i wzruszenia, że to już blisko i nie wiadomo, co się tam pięknego, straszego czy doniosłego stanie.

I ta Warszawa, zupełnie inna, niż wszystko złe czy dobre, co się o niej myślało czy słyszało, czy nawet czytało, czy nawet oglądało na fotografiach czy czasami w kinie. A jechali przez całe miasto wielkimi, tylnymi mostami przez szeroką, szeroką Wisłę i mogli je przejrzeć od koń-



ca w koniec. Nocowali w koszarach na Pradze i to była pierwsza spokojna, dobrze przespana noc, a już na śniadanie pojechali aż do wyścigów wielkim, zielono malowanym samochodem i trzeba się było dobrze trzymać, bo samochód podrywał na skrętach jak wszyscy diabli. Dzień był jak malowany, niebo bez granic i słońce, jak szeroko otwarte, rześiste oko. Dusza się rwała jak ptak. Lodzia w ciepłym palcie — za ciepłe na ten cudowny dzień — patrzyła dokoła, chłoneła w siebie obrazy stolicy. Gwar, ruch, szum, tylu ludzi biegnie ulicami, że aż milicjant musi ich zatrzymywać, bo by powpadali pod te gnające na lew i na prawo samochody. Sklepów tyle, w sklepach wełny i różne kwieciste towary pozawieszane z góry na dół jak tęcza. Tu jabłek pełno, tam znów puszki jakieś poustawiane, tam kwiaty. A samochód leci i leci, żeby Lodzia chustki nie przytrzymała rękami, to by jej związało. Wielki autobus wpadł na Puławską ulicę, było tu szeroko, a z dwóch stron drzewa

i krzaki, domy jak gdyby rozsunięły się na boki, żeby środkiem było wygodniej lecieć. A tu znów stacja kolejki, ludzie, możecie jechać w świat, choć kto by stąd chciał jechać? I kiedy minęli kolejkę, która właśnie ruszała buchając parą — widok się znowu odmienił. Lecieli teraz szeroką aleją, po obu stronach, za barierą, były przestronne trawniki i drzewa, a środkiem koralowe sztandary, wzdęte na wietrze i niskie, zielone chorągwie, łopoczące na zwycięstwo i radość — i wielkie transparenty przez całą szerokość alei: „Robotnicy Warszawy witają chłopów” i inne, coraz piękniejsze.

Przylecieli przed wielkie gmachy, całe, powiadam wam, ze szkła i żelaza, gmachy olbrzymie jak dworce. Lodzia nic przekonać nie mogła ze wzruszenia, choć dobre rzeczy dawali. Ktoś krzyczał:

— Katowice, Katowice, ustawiać się! — a inni, z takimi szerokimi opaskami na rękawach, żeby ich było można rozpoznać, wykrzykiwali inne znowu nazwy.

Szli szerokimi alejami, a były ich już tysiące. Radio grało i potężny, męski głos aż huczał, śpiewając jakby ze wszystkich stron. Na olbrzymiej, wysokachnej sali krzesła poustawiane w koło, a między krzesłami na tykach napisy: Kieleckie, Mazury i takie tam różne. Estrada cała w czerwieni i kwiatach, a na przodku w fotelu, czy uwierzycie? Samego Prezydenta Polski zobaczyła Lodzia, jak siedział naprzeciwko swego portretu, taki podobny, że jej!

Drugiego dnia zaś, już nad wieczorem, Lodzia ubrana w zielony kombinezon, w białych, płóciennych pantoflach na nogach, stała w szeregu młodzieńców i panien, wszystkich tak samo ubranych jak ona, z tarczą wyszytą na piersiach i nazwą swego województwa. Padła cicha komenda i oni się wszyscy odwrócili na salę: zakłówało im się, zatańczyło w oczach, górnicze pióropusze u wysokich czapek, mazurskie czepce, pawie pióra u krakowskich rogatywek, barwiste gorsety i wstążki, szare „z miejska” ubrania i znowu chustki na włosach kobiecych. A tam, górą, polatywał sobie mały ptak, co nie wiadomo jak się dostał do tej olbrzymiej sali. Latał sobie i ćwierkał, zwiastun chłopskiej wiosny.

Ej, żeście wtedy nie widzieli Lodzi, jak stała na estradzie wyprężona w przepiśowej postawie do meldunku, w karnym szeregu między swoimi towarzyszami i towarzyszkami, grupą sportowców wiejskich, w zielonym kombinezonie z nazwą województwa na bluzie, w świetle reflektorów, w ogniu fotograficznych aparatów, w ogniu wpatrzonych oczu! Ej, żeście wtedy nie widzieli tych rozjarzonych spojrzeń, wlepionych w pionierów chłopskiego sportu: Ej, żeście nie słyszeli dumnych słów meldunku, które leciały na zasłuchaną salę:

W imieniu 23 tysięcy sportowych działaczy wiejskich...

W imieniu 187 sportowych organizacji wiejskich...

W imieniu drużyn wiejskich, które wzięły udział w marszu dla uczczenia rocznicy śmierci generała Świerczewskiego.

